

## Spotkanie z homo tatarnicus

*Historia ta osnuta została na kanwie prawdziwych wydarzeń. Ludzie, którzy byli jej świadkami żyją po dziś dzień... Zdarzenia opisane poniżej wspominają z dreszczem niepokoju... Znam to uczucie, bo byłem tam i widziałem rzeczy, które innych ludzi prześladować mogą jedynie w sennych koszmarach... Pragnę dać świadectwo przerażającej historii, dla której sceną stały się nasze piękne góry.*

Kładąc się tego wieczora do łóżka nie miałem pojęcia, co czeka mnie następnego dnia. Właśnie mijał czwarty dzień naszego pobytu w Tatrach. Wyprawę tę planowaliśmy do dawna. Pogoda dopisała, więc pod koniec kwietnia 2002 roku ja i moja narzeczona Asia zameldowaliśmy się w naszej kwaterze w Kościelisku. Pokój z balkonem, w domu na zboczu Gubałówki zapewniał nam zawsze fantastyczne widoki na Giewont i masyw Czerwonych Wierchów. Wielokrotnie obserwowaliśmy je przebudzone o brzasku lub szykujące się do snu w ciepłych promieniach chylącego się ku zachodowi słońca. Leżąc w łóżku zastanawiałem się długo, dokąd wyruszyć następnego dnia. Sen spłynął na mnie jak błogosławieństwo...

Rano obudziły nas pierwsze promienie słońca. Zapowiadał się piękny, słoneczny dzień. Nadal jednak nie wiedzieliśmy, dokąd wyruszyć. Asi od jakiegoś czasu marzyła się wyprawa na Przełęcz Kondracką. Opowiadałem jej wiele razy jak to wyszedłem z Kościeliska, przez Dolinę Małej Łąki dotarłem na Przełęcz Kondracką, potem przeszedłem Czerwone Wierchy i zszedłem do Doliny Kościeliskiej. Jakby tego było mało... wróciłem do Wojdyłówki piechotą. Od tej pory moja narzeczona pałała chęcią zdobycia przełęczy i przyjrzenia się z bliska Czerwonym Wierchom i Giewontowi. Pomyśleliśmy, że to może właśnie dzisiaj powinniśmy wyruszyć w kierunku przełęczy. W grę wchodziło podejście od Doliny Małej Łąki lub Hali Kondratowej. Zdecydowaliśmy się na drugi wariant. Wszystko wydawało się przygotowane. Zapomnieliśmy jednak o pewnym istotnym szczególe. Był to 2 maja, drugi dzień tak zwanego "długiego weekendu"...

Koszmar zaczął się na postoju busów pod dworcem PKS z Zakopanem. Przedstawiciele gatunku **homo tatarnicus** tłoczyli się bezładnie wokół zapchanych do ostatniego miejsca busów, busików i autobusów. Gdyby zakołował tam wtedy "Boeing 747" to na pewno znaleźliby się chętni na lot do Kuźnic czy Morskiego Oka. Turystyczna gawiedź, mając w nosie przykazania o miłowaniu bliźnich, przepychała się i tratowała w drodze do wolnych jeszcze środków transportu. Jakimś cudem, zajęliśmy miejsca w busie jadącym do Kuźnic, okupiwszy to jedynie nielicznymi obrażeniami ciała.

Niestety na miejscu nie było wcale lepiej... Do kolejki na Kasprowy Wierch stał ogonek na mniej więcej 250 metrów! Busy dowoziły kolejnych amatorów górskich wypraw. Nie zważały przy tym na wąsających się po drodze, osłupiałych z wrażenia, zdrowych psychicznie turystów, których kłębiący się tłum ubranych w trampki osobników przyprawiał o myśli samobójcze. Kończyło się to tym, że raz po raz rozbrzmiewał gwałtownie klakson przywracając do rzeczywistości owych, zdesperowanych i zropaczonych ludzi. My byliśmy jednymi z takich ludzi... Co gorsze, ciżba ta pchała się tłumnie w stronę, w którą i my powinniśmy iść. Nie wróżyło nam to nic dobrego. Jednak były także plusy tej sytuacji. Mogliśmy na przykład podziwiać stroje, w które zgodnie z kanonami górskiej mody przyoblekli swoje ciała. Towarzystwo to kroczyło dumnie na spotkanie z górskim szlakiem we wszystkich rodzajach tenisówek, kłapek i sandałów, jakie kiedykolwiek widziałem. Prawie każdy dowódca wyprawy dzierżył w dłoni reklamówkę z zapasami żywności (w postaci ciastek i batoników) i napojów (koniecznie czegoś z dużą ilością bąbelków). Przyznam się, iż pałałem nadzieją, że większość z homo tatarnicusów podejmie próbę wejścia jedynie na niedostępną i mocno eksponowaną Polanę Kalatówki. Byłem przekonany, że dotarcie na Halę Kondratową w narastającym z każdą minutą upale będzie dla tej tłuszczy po prostu niemożliwe. Czas miał jednak pokazać jak bardzo się myliłem. Tłum brzuchatych wąsaczy uzbrojonych w ciupagi zakupione na Krupówkach parł nieustannie w stronę wysokich gór. Za nimi dreptały ich połowice stukając obcasami o kamienną "ceprostardę". Niektóre potykały się o nierówności szlaku nie dostrzegając ich po prostu zza różnokolorowych szkieł okularów przeciwsłonecznych. Rozneglizowani panowie wabili swoimi, pofałdowanymi i spoconymi "wdziękami" wszelkie żyjące w okolicy muchy. Potomstwo pofałdowanych biegało wkoło z krzykiem na ustach ciskając w ludzi kamieniami. Po chwili barwny tłum homo tatarnicusów ustawiał się grzecznie w kolejce, aby nabyć w drodze kupna bilet wstępu do TPN. Gdy już dopełnił formalności ruszał ze śpiewem na ustach, aby burzyć odwieczną harmonię gór.

A po środku tego piekła My! Ja i moja narzeczona, której obiecałem spokojne i sielskie wyprawy w nasze piękne góry. Miały one ukoić jej serce i pozwolić odpocząć od chaosu miasta. Zakochani w sobie i w górach ludzie, którzy chociaż na chwilę chcieli uciec od tłumów i tego, co niesie ze sobą cywilizacja. Co zamiast tego dostaliśmy? Tupot tysięcy nóg, wrzaski dzieciarni i widok nieprzebranego, kolorowego tłumu nie mającego za

grosz szacunku dla gór i pojęcia o tym, co to jest górską wyprawą. Szli jak po deptaku na Krupówkach psując powietrze i pocąc się ponad miarę. Nigdy nie widziałem czegoś straszniejszego i nigdy zobaczyć już nie chcę. Ja jednak wciąż uważałem, że ta koszmarna banda maruderów zmierza tylko i wyłącznie na piwko i golonkę do hotelu na Kalatówkach. Tym też pocieszałem Asię. Ruszyliśmy dziarsko przed siebie. Zaprawieni wyprawami z poprzednich dni narzuciliśmy forsowne tempo marszu. Gawieź, omamiona najwyraźniej łatwością szlaku, również drałowała nad wyraz sprawnie. Do czasu jednak. W pewnym momencie pojąłem, że moje przewidywania mogą się sprawdzić. Zupełnie nieprzystosowani do długiego marszu homo taternicus coraz częściej przysiadali przy szlaku. Raz po raz spoglądały z cienia w naszą stronę rozpalone oczy wykończonych upałem "kozaków". Ceperskie ciała zalegały przydrożne rowy i krzaki, błagając spierzchniętymi wargi o coś do picia. Większość z nich zdążyła wytrąbić już cały zapas swoich słodkich napojów i teraz rozglądała się rozpaczliwie za choćby kropelką wody. Może powiecie, że jestem okrutny, ale widok tego motłochu wędnącego z pragnienia sprawił mi mnóstwo satysfakcji. My mieliśmy z sobą butelkę wody mineralnej i nieodłączny termos wypełniony herbatą z cytryną. Nie miałem jednak najmniejszego zamiaru dzielić się tymi zapasami z przedstawicielami tej tłuszczy, których zdążyłem już znienawidzić. Niestety, mimo wielu przypadków "zgonów z pragnienia", tłum nie malał. W końcu pośród jęków, narzekań i złorzeczeń dotarliśmy na Kalatówki. Tam zastaliśmy widok, który nie był dla nas zaskoczeniem. Wykończone upałem i marszem towarzystwo rozłożyło swoje wielorybie ciała na trawce przed hotelem. Ten rozłożony na ręczniku wystawiał swoje wątpliwe wdzięki na działanie promieni słonecznych. Ów pochrapywał głośno za nic mając otaczające go, piękne widoki. Widok ten nie tylko nie poprawił nam humoru, a wręcz przeciwnie - zepsuł apetyt.

Zgodnie postanowiliśmy odłożyć odpoczynek na później i bez zwłoki ruszyliśmy w stronę Hali Kondratowej. Po drodze nie stało się nic niezwykłego poza tym, że słyszeliśmy mnóstwo zdań typu: "Czy to k... nie ma końca!" lub "Nie idźmy tak szybko bo za szybko dojdziemy...". Pierwsze z nich padło z ust osobnika, którego stopy przyoblekały gustowne adidasy, a który zapamiętałe wdrapywał się po stromym, zalodzonej fragmencie szlaku. Zapytacie skąd lód? W maju, w lasach i na północnej stronie stoków leży jeszcze mnóstwo śniegu. W wielu miejscach, tak jak właśnie na szlaku z Kalatówek na Halę Kondratową spod śniegu wyłażą płyty lodu. Tak jest chyba na wszystkich, mocno uczęszczanych trasach w górach. Gawieź uprawiająca spacerki w sandałach i trampkach na takich odcinkach miała mnóstwo kłopotów. Jeżeli na dodatek szlak wznosił się to naprawdę nie było im łatwo. Zamiast raków używali własnych zębów... Muszę przyznać, że niektórzy z nich zasłużyli na słowa uznania, ze względu na determinację i odwagę, jaką wykazywali. Nam tak naprawdę też nie było łatwo. Buty na sztywnym wibracie też skore były do poślizgu. Mimo wszystko poradziliśmy sobie sprawniej niż inni.

Po jakimś czasie wkroczyliśmy na Halę Kondratową. Pierwsze, co poczuliśmy to silne uderzenia wiatru. Wydawało się, że chce powiedzieć nam żebyśmy wracali, gdyż wiał nam wprost w twarz. Podmuchy były jednak wyjątkowo ciepłe. Halny, no to chyba mamy z głowy przełęcz - pomyślałem. Za chwilę naszą uwagę przykuło jednak coś innego. Przy małym schronisku kłębiło się mnóstwo turystów. Szlak ten jest bardzo popularny. Wiedzie tędy przecież dość wygodna i bezpieczna droga na Przełęcz Kondracką a potem na Czerwone Wierchy lub Giewont. Ten ostatni, jak chyba wicie jest celem licznych pielgrzymek. Wyruszają na nie często ludzie całkiem nieprzygotowani, często tacy, którzy w Tatrach są dopiero pierwszy raz. Nie przeczę, czasami prowadzą ich ludzie rozważni i odpowiedzialni, często jednak tak nie jest.

Wracając jednak do naszej wyprawy, kilku młodzików buszowało na tyłach schroniska jakby czegoś wypatrując w zaroślach. Okazało się, że była to grupa specjalna, mająca za zadanie wytropić jelenia, którego ponoć widziano tam przed chwilą, a który salwował się ucieczką w stronę wspomnianych zarośli. Zacząłem zastanawiać się, co by było gdyby potężne zwierzę wypadło na swych prześladowców i postanowiło stanąć do walki o swoją wolność. Podejrzewałem, że finał tej sprawy byłby taki, że chłopaki musieliby zmieniać gacie a jeleni uciekłyby w góry. Nie przekonałem się jednak o tym. Najwyraźniej zwierzę miało wyższy współczynnik inteligencji od członków grupy pościgowej i postanowiło uniknąć konfrontacji.

Jak pamiętacie wyznaczaliśmy sobie halę na popas. Znaleźliśmy jeden głąz, trochę powyżej schroniska, który nie był przez nikogo okupowany i rozbiliśmy obóz. Przez "rozbiliśmy obóz" rozumiem tutaj wyciągnięcie dwóch kawałków pociętej karimaty, na których zasiedliśmy. Wyciągnęliśmy suchy prowiant, termos z ciepłą herbatą i rozpoczęliśmy ucztę. Opodal, pod smreczkiem ucztowały także dwie siostry zakonne. Wydawały mi się rozsądne i zrównoważone. Przyjąłem, że na pewno nie idą na nigdzie wyżej i tylko przyszły na halę, żeby kontemplować przyrodę i być bliżej natury. Byłem przekonany, że pośród rozwrzeszczanego i podekscytowanego tłumu homo taternicusów nie zaznają tutaj spokoju i wkrótce ruszą z powrotem. Chcąc zaistnieć jako mistrz dedukcji wyłożyłem swoją koncepcję (na temat rozsądku zakonnicy) mojej Asi. Po chwili jednak siostry wstały i ruszyły w stronę szlaku. Siłą rzeczy musiały przejść obok nas. Usłyszałem tylko "A jak

już zejdziemy z Giewontu...". Moja błyskotliwa dedukcja po tych słowach okazała się kupą gnoju. W duszy powiedziałem sobie "Zakonnice, nie zakonnice - pan Bucek poskąpił rozumu...". Kończyliśmy właśnie ucztować, gdy dotarło do nas, że odkąd tutaj siedzimy, w stronę Przełęczy Kondrackiej ciągle ktoś idzie. Momentami szły całe grupy. Zaświtała mi myśl o ucieczce do Kuźnic...

Postanowiliśmy jednak podejść kawałek w stronę przełęczy i sprawdzić jak tam wygląda sytuacja. Na całym przebytym odcinku było tak samo. Topniejący, skrywający zdradziecki lód śnieg, tłumy turystów i na dodatek bardzo silny wiatr. Wiało od grani wprost na halę. Szliśmy cały czas z dużym wysiłkiem. Mimo, że poddmuchy halnego były ciepłe, zaczynało się nam robić chłodno. To chyba pod wpływem stresu i zmęczenia. O dziwo minęła nas wtedy mocna grupa trampkowiczów, pnąc się odważnie w stronę przełęczy. Czereeda ta, ubrana jedynie w krótkie koszulki i spodnie maszerowała niemalże ze śpiewem na ustach. Na dodatek obrzucali się pigułkami śniegu, krzycząc coraz "Więcej śniegu! Dajcie nam więcej śniegu!". Osłupiałem. Poczujęm, że coś we mnie pęka. Miarka się przebrała. Pora wracać - powiedziałem. Asia zgodziła się ze mną. Chyba myślała o tym samym. Rozpoczęliśmy odwrót...

Wyglądaliśmy jak zawodowcy. Dobre kurtki, buty, spodnie, plecaki, ochraniacze... Wszyscy, którzy nas mijali patrzyli na nas z zazdrością. Niektórzy, choć niektórym pewnie wydawało się to oczywiste, pytali nieśmiało "Wracacie ze szczytu?". Kiedy dowiadawali się, że zrejterowaliśmy spod przełęczy, bo nie podoba nam się wiatr i tłum ludzi, patrzyli na nas ze zdumieniem. No tak. Przecież oni przybyli tutaj by zdobyć Giewont. Głupio się przyznawać, ale ja jeszcze na Giewoncie nie byłem. Wielu nie rozumie, że nie lubię stać w ogonku ludzi, żeby móc wejść na łańcuch. Nie rozumieją mojego strachu, że jakiś wystraszony naturszczyk puści się tego łańcucha, złapie się za to mnie i polecą w przepaść... Pośród wielu trudności związanych z wymijaniem gawiedzi na szlaku zeszliśmy do Kuźnic.

Ale to nie koniec opowieści. Może trudno to pojąć, ale my nie mieliśmy jeszcze dosyć. Postanowiliśmy zgodnie, że jeszcze mamy sporo czasu i trzeba obejrzeć Giewont z... drugiej strony. Naszym celem stała się teraz Dolina Małej Łąki i Wielka Polana. Tam już nie było tłoku. Był spokój. Usiedliśmy na Wielkiej Polanie. Patrzyliśmy na góry. Nikt po nas nie deptał, nikt nie krzychał. Było cichutko i pięknie. Można by rzec sielski koniec upiornego dnia. Zapomnieliśmy o torturach związanych z wyprawą na Halę Kondratową. Słońce było coraz niżej. Siodłowa Turnia, pięknie z tej strony wyeksponowana zaczęła kąpać się w jego pomarańczowych promieniach. Zbliżał się koniec kolejnego dnia na szlaku. "Tutaj jest piękne, ale musimy już wracać" - powiedziałem do Asi...